

— Siadajcie panowie przy nas.

Marski rozejrzał się po salonie i rzekł z uśmiechem:

— Gdzież mam usiąść? — rozglądał się za krzesłem, — czy jak żyd na bosinach?

— Czy mam panu przynieść krzesło? — zaśmiała się gospodyni.

— Niekoniecznie, — odparł, — ale dobra gospodyni powinna mieć dostateczną ilość krzesel, kiedy zaprasza gości.

— Na drugi raz zaproszę pana do obliczenia krzesel... co to znaczy młody i grzeczny kawaler! ucz się pan! już pan Czajkowski zdobył dwa krzesła.

— Nie on zdobył, — uśmiechnął się drwiąco, — to oczy panny Mani kazały mu przynieść krzesła.

— Moje? — zarumieniła się, — nawet nie spojrzalam w tę stronę.

— Ale, proszę pani, — śmiał się, sadowiąc się na krzesło, — bywają różne spojrzenia: proste, krzywe, boczne, z pod oka, anielskie, dyabelskie.

— A moje jakie było, zdaniem pana? — zaśmiała się, — chociaż nie patrzałam.

— Ukradkowo-magnetyczno-elektryczne. Zadowolona pani?

— Jesteś pan nieznośny! — zrobiła minkę rozkapryszoną.

— Nic mi nowego pani nie powiedziała, słyszałem o tem już dawno, — powiedział obojętnie, i do gospodyni:

— W jakim celu pani nas tu zawołała?

— Czy panom tu tak źle? — zaśmiała się.

— Co tu będzie, nie wiem, ale tam było nam dobrze.

— Wezwałam panów na indagację, — mówiła z udaną powagą, — i wzywam do zeznania prawdy.

— A któż jest oskarżony? — spytał Marski, gdy Roman milcząco porozumiewał się z panną Manią.

— Naturalnie, że pan, — zaśmiała się Stokłowska, — nie znam większego potwora.

— Mało zna pani ludzi, — odparł z wyrozumiałym uśmiechem. — O co jestem obwiniony?

— Że pan, zdecydowany nieprzyjaciel małżeństwa, rozmawiając z panem Czajkowskim, usiłował sprowadzić go z drogi cnoty i obowiązku.

— Nic mi na cnocie pana Czajkowskiego nie zależy, — śmiał się, — ani go namawiałem, ani kusilem.

— Pan jesteś zatwardziały grzesznik, panu nie wierzę. Panie Romanie, przyznaj się pan.

— Do czego?

— Gdzież pan był? Nie słyszał pan, co mówiłam?

— A, wiem, — mówił Roman lekko zmieszany, — nie pamiętam ażeby pan Marski mówił coś o tej sprawie.

— O, jakże krótką ma pan pamięć! — śmiał się Marski. — Czyż nie tłómaczyłem ci młodzieńcze, że poezją, kwiatami i wrażeniami obrzodził siebie w oczach każdej zdrowej i dzielnej dziewczyny?

Obie panie zaczęły się śmiać, a ich wesołość powiększało zmieszanie Romana, który rozdrażniony tem powiedział:

— Marski powtórzył tylko część swej dowcipnej a złośliwej przemowy do mnie, a pominął drugą, poważniejszą.

— Jaką? jaką? powiedz pan! — zachęcała Stokłowska.

Roman milczał, rozważając czy ma powtórzyć słowa posłyszane. Wyręczył go Marski:

— Powiedziałem, że nie lubię i nie wierzę tym eterycznym istotom, co wdychają do księżycy, karmią się ambrozją i nektarem, naturalnie przed ludźmi, a ukradkiem zjadają kiełbasę z kapustą.

Mania na wzmiankę o kiełbasie, zarumieniła się aż po włosy, ojciec jej bowiem miał dawniej sklep z wędlinami, i pogardliwie spojrzała na Marskiego.

— Przez pana mówić żółć, — zawołała Stokłowska, — pan sam, niezdolny do zrozumienia i odczucia poezji, wszystkich posądza o obłudę, i za karę musi pan ze mną przetańczyć tego walca, — gdyż właśnie przed chwilą, jedna z pań, uproszona siadła do fortepianu, a trzy pary amatorów tańca kręciło się już po salonie.

Naturalnie Roman nie zaniedbał prosić swej są-

siadki do walca, a że oboje byli dobrani wzrostem i doskonale tańczyli, wywarli bardzo korzystne wrażenie na wszystkich i ogólny szept poszedł po sali: Jaka to dobrana para!

I jak to zwykle bywa, zaimprovizowana zabawa udała się doskonale. Wzrastała ochota do tańca, tak, że nawet starsi panowie i panie wzięli udział, a gościnnie gospodarz sprowadził dwóch grajków na skrzypce i fortepian, i zwykłe zebranie przemieniło się w bardzo wesołą i ożywioną, tańczącą zabawę.

Napojów i jedzenia było w bród, a troskliwi gospodarstwo co chwila prosili na wino i przekąski.

Roman, jako wyborny tancerz, na ogólną prośbę, prowadził tańce i w następstwie tego, jego tancerka Mania została królową zabawy, ku wielkiemu zadowoleniu nie tylko jej, ale i pana Filarka.

Już dniało, gdy kończył się biały mazur, a znajomość pomiędzy Romanem a Manią tak się zacieśniła, że gdy oboje czekali na swą kolej przy figurze mazurkowej, on szepnął:

— Czy pozwoli mi pani odwiedzić siebie jutro...



— Jaki pan szczęśliwy, — westchnęła lekko, patrząc smutkami oczyma przed siebie.

— Cóż tak nagle? — uśmiechnęła się.

— Chciałbym, ażeby ten czar dzisiejszego wieczoru nie doznał przerwy. Jestem dzisiaj tak szczęśliwy, że staję się zabobonnym i zdaje mi się, że jeśli jutro nie zobaczę pani, pozostanie mi w udziale noc i smutek.

— Szkoda byłoby pana... przyjdź pan jutro...

— Kiedy zastanę panią?

— Najpewniej wieczorem, tak, około szóstej.

— Dziękuję pani, — uściśnął jej rękę, — pani jest bardzo dobra.

— Panie Czajkowski, a teraz co? — zawołał jeden z tańczących, po skończeniu pierwszej części figury.

— Panowie, kółko! Panna Marya rzuca chusteczkę.

I nie tyle dzięki swej zręczności, jak ułatwieniu ze strony tancerki, pochwycił Roman chusteczkę Mani, ale przy odbijaniu musiał odstąpić ją na chwilę Marskiemu.

Wreszcie goście zaczęli się rozchodzić, a Filarek, rozczulony winem i zabawą córek, ucałował Romana, mówiąc:

— Prawdziwy Warszawiak z pana, wziął mnie

pan za serce, taki pan wesoły, dzielny, a tańczysz, jak Boga kocham, jak baletnik.

— Zbytek pochwał, — ścisnął go Roman.

— Jak Boga kocham, prawdę mówię. Przyjdź jutro... a może na obiad? co?

— Ależ Michciu, — odezwiała się siostra Filarka, — już biały dzień, nie zdążę z obiadem dla gości...

— Głupstwo! zje to, co i my.

— Na to nie mogą pozwolić, — oburzyła się, — co gość, to gość. Już proszę na herbatę wieczorem.

— Z babami nie poradzę, przyjdź pan wieczorem.

— Z całą przyjemnością, — uściśnął ojca, a ucałował rękę ciotki, szukając radosnymi oczyma spojrzenia Mani.

W czasie, gdy panie się ubierały, Stokłowska szepnęła do Romana:

— Cóż panna?

— Cudowna! — ucałował jej rękę z wdzięcznością.

— Nie zapomnij pan staremu powiedzieć, żeś współnikiem mego męża, co jest prawdą, albo nią będzie, — uśmiechnęła się, — moja w tem głowa.

— Dziękuję pani, nie zasłużyłem na tyle dobroci.

Naturalnie, Roman odprowadził Filarków do samego domu; powtórzyły się zaprosiny, trochę mniej serdeczne ze strony ojca, ale tem czulsze ze strony panny.

Rozmarzony Roman uczuł niechęć do rozmowy z matką i siostrą, one bowiem nie znając Mani, nie mogły mieć wyobrażenia o jej piękności i zaletach, a przeczuwał żarty i drwiny Irenki, gdyby się wypowiadał ze swych uczuć.

Korzystając z pogodnego, mroźnego poranka, szedł przed siebie i przypadkowo znalazł się u wylotu Wolskiej ulicy. Ujrzał przepiękny krajobraz: w oddali wznosiła się mogiła Kościuszki, błyszcząca brylantowo, jakby spowinięta aureolą białych ogniów. Na widnokręgu czerniały lasy, a z wielkich równin przynosił wiatr świeży, orzeźwiający oddech z pól i lasów. Ten widok spokoju, ciszy i blasków dostrajał się harmonijnie do jego uczuć, równie czystych i bezinteresownych, a wyobraźnia podniecona uczuciem dla Mani, ukazywała mu ją, jako postać unoszącą się nad ziemią, ubraną w białe szaty dziergane brylantowymi blaskami. Zbudziła go z tych marzeń konieczność udania się do fabryki i spełnienia swych obowiązków.

Dopiero na obiad zjawił się w domu, witany z niespokojną radością przez matkę i siostrę.

— Gdzież był Romciu do tej pory?

— Wracam wprost z fabryki, zmęczony jestem, — usiadł.

— Z fabryki? — zdziwiła się. — W białej krawatce? w smokingu?

— Cóż to szkodzi? — uśmiechnął się — nie zwróciłem na to wcale uwagi.

— Romek, dobrze bawiłeś się?

usiadła przy nim Irena, a matka wyszła do kuchni.

— Bardzo dobrze, tańczyliśmy do białego dnia.

— No, a jakie towarzystwo?

— Hm... dosyć dobrane, i wiesz Irenko, co ci powiem? że niewiasty tutejsze są o wiele przyjemniejsze, aniżeli mężczyźni.

— Pod jakim względem?

— Pod jakim? — chwilę się namyślał, — no, nie mają tych zastawek mózgowych, rangi, awansy, orderów, wiesz, ten cały tłumok biurokratyczny.

— To naturalne, ale zawsze są to małomieszcanki, z prowincji, — uśmiechnęła się, — nie to, co u nas.

— Ale gdzieżtam! nie mówię wszystkie, ale są takie, które przewyższają nawet Warszawianki.

— Zwłaszcza jedna, nieprawdaż? — zaśmiała się, — co, Romku, przyznaj się, — i wznosząc oczy do góry, z ręką na sercu, przedrzeźniała deklamację: — ach! ona!... ta niezrównana!... ta idealna!... co za wdzięk! jaka dusza! — i nagle wracając do zwykłego tonu: — Romku, Romku, wstyd mi takiego brata! Ledwieś ujrzał, już płoniesz...

(Ciąg dalszy nastąpi).